

Sławski, Artur

Randka

Przegląd Pruszkowski nr 1, 81-90

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

R A N D K A

Obudził się przed południem. Po wczorajszych całodziennych walkach o skrzyżowanie Alei z Bracką od rana niepokoiły rejon jedynie granatniki z B.G.K. i Muzeum. Za dnia mieszkanie przedstawiało ponury obraz. Podłogi i meble pokryte grubą warstwą kurzu, potłuczonego szkła, drzazgami drewna. Porozrywane firanki w oknach szarpał wiatr. Poczłł głód. Obmył czajnik i postawił na słabym gazie. W szafie leżał suchy, spleśniały chleb.

— Niech leży, na czarną godzinę! — Przypomniał sobie o sucharach przygotowanych przez Baškę.

— Co oni tam teraz, w Milanówku, przeżywają myśląc o nas? Wyjął konserwę.

— Wojtek miał głowę na karku. Najpewniejszy zapas w każdej sytuacji. — Nożem kuchennym rozpruł blachę i zabrawszy się do jedzenia poczuł chęć napicia się wódki. Jakoś od początku nie nadarzała się okazja. Znalazł u siebie napoczętą butelkę, pociągnął duży łyk, resztę odstawił na przyjęcie Małgorzaty.

— Dlaczego jej jeszcze nie ma? — Wsypał dwie łyżeczki do garnuszka i zalał wrzątkiem. Rozkoszny aromat i smak obudził w nim energię. Zamierzał uprzątność trochę swój pokój i zasłonić okno od frontu.

— Nonsens — pomyślał. Alkowa służącej jest najbezpieczniejszym bunkrem na randkę z kobietą. W tym stwierdzeniu była jakaś perwersja przeciwstawiająca pragnienie życia poczuciu beznadziejności. Chwycił szczotkę, zamiótł podłogę, strzepnął zakurzoną pościel, ścierką startł kurz ze stołu. Szukał czegoś do zasłonięcia wybitej szyby, gdy do drzwi wejściowych ktoś mocno zapukał. Skoczył jak oparzony.

Dozorca wprowadził uzbrojonego w pistolet wojaka. Spod hełmu patrzyły przenikliwe oczy. Na naramiennikach poniemieckiej panterki błyszcząły po dwie gwiazdki. Przybysz zapytał rzeczowo:

– Pan jest właścicielem? Istnieje potrzeba zajęcia tego lokalu dla wojska. Zobaczą tylko rozkład.

Nie czekając na zaproszenie ruszył obejrzeć pokoje, swobodnie wychylając się z poszczególnych okien, sprawdzał pole widzenia i ostrzał.

– Przed wieczorem lokal zajmie dwudziestu ludzi – zdecydował nie pytając o zgodę i wyszedł.

Rudnicki uznawszy wyższą rację potrzeb, bez wewnętrznego oporu zaprzestał robienia porządków. W podręczną torbę zapakował resztę konserw, puszkę z kawą, trochę sucharów, przechodząc po pokojach rozglądał się, co jeszcze wartoby przenieść do piwnicy. Miał nieodparte przekonanie, że rozstaje się z mieszkaniem na zawsze. Pozostałe po rodzicach żony drobiazgi, kosztowne bibeloty, nieliczne już obrazy, a tym bardziej gdańskie urządzenia gabinetu teścia i stylowe meble w dawnym saloniku żony, teraz odrapane, przestały mieć dla niego jakąkolwiek wartość: materialną nie, bo nie istniała możliwość ich zabezpieczenia, ani moralną, gdyż wojna przewartościowała ukształtowane w nim od dziecka sentymenty. A przecież mimo, że wszystko zdawało mu się już niepotrzebne, z troską na twarzy patrzył na ruchomości Zarzyckich, stanowiące dla Baški i jej syna tak zwany "majątek", z takim trudem wywieziony po wysiedleniu z Zadwórnej, mający dla nich jedynie wartość moralną. Z wiadomego mu schowka wyjął kluczyki i otworzył biurko, by upewnić się, czy szkatułka z prochami spalonego dworu i garść ziemi z rodzinnego grobu, z pietyzmem przechowywane przez nią jako talizman, tkwią na swoim miejscu. Znalazłszy, postanowił zabrać je ze sobą. Uprzytomnił sobie bowiem, że przecież i on sam dosypał w nią grudkę przywiezioną przez Heńka z grobu jego matki. I choć wszystko inne uznał za rzeczy nabyte i nie swoje własne,

postanowił co nie co z nich zabezpieczyć. Do dużej walizki bezładnie wrzucał pospiesznie taksowane ubrania, a na wierzch zgarnął zestaw instrumentów medycznych Heřka. Przycisnął kolaniem wieko, zamknął je, zaniósł walizkę do piwnicy. Szukając dozorczy, żeby mu oddać klucz, zauważył, że rozmawia na podwórzu z dziewczyną mającą na rękawie opaskę Czerwonego Krzyża.

— Panie inżynierze, do pan!

— Pan Stanisław Rudnicki? — zapytała sanitariuszka — Przyniosłam dla pana meldunek od doktora Kaczorowskiego.

W tym momencie wnękę oficyn przytłoczył huk i za chwilę z rozdartego dachu posypały się odpady poszycia.

— Ścierwy, cholery! — zaklął dozorca — Latają niespodzianie, jak osy. Lepiej chodźmy do bramy.

Rudnicki rozwinął kartkę złożoną we czworo i czytał: Proszę natychmiast przyjść do szpitala. Łączniczka przyprowadzi pana. Wzywa dr Sadowska.

— Co się stało? — zapytał Rudnicki zdziwiony.

— Nie wiem, proszę pana. Przysłał mnie komendant szpitala.

— Jakiego szpitala?

— Naszego, na Wspólnej.

— Szpitala? Na Wspólnej? Tam jest doktor Sadowska?

— Ja nie wiem, proszę pana. Kazano mi pana przeprowadzić, bo do nas jest bardzo trudno bezpiecznie trafić.

Pełen sprzecznych myśli szedł bezwolnie za dziewczyną nie zadając żadnych pytań, jakby bał się przedwcześnie niepokojących skojarzeń. Droga do miejsca, gdzie wzywała go Małgorzata, trwała niespełna pół godziny.

— Do diabła — trawił w sobie — Dlaczego nie ona napisała kartkę? — Sanitariuszka prowadziła drogą okrężną przez Kruczą i Hożą, pod barykadą na Marszałkowskiej i labiryntem piwnic do zespołu domów na Wspólnej, która na tym odcinku była pod niemieckim ogniem z ogrodu kościoła św. Barbary. Gdy u celu

drogi znalazł się na podwórzu, ze zdumieniem stwierdził, że jest na posesji domu, w którym przed ślubem mieszkał z matką po opuszczeniu rodzinnego domu w Milanówku. W tylnej oficynie piwnice i parter zajmował teraz polowy szpital powstańczy.

— Niech pan tu zaczeka — zatrzymała go dziewczyna w ciasnej sieni przesyconej jodoformem i mdłym fetorem szpitala.

W czasie kilkunastu minut kompletnego zabłąkania, wśród ciągłego napływu rannych i wynoszenia ludzi już tylko ziemi potrzebnych, wybył się złudzenia, że zobaczy Małgorzatę witającą go stęsknionym uśmiechem. Ktoś go z tyłu chwycił za rękę. Był to starszy, mocno szpakowaty mężczyzna z bujnie rozwianym włosom, w obficie zakrwawionym fartuchu; obok niego stała dziewczyna, która go tu przywiodła.

— Pan Rudnicki? Niech Pan pozwoli ze mną — odezwał się niskim zmęczonym głosem wskazując przeciwległe drzwi. Z przedpokoju wprowadził Rudnickiego do kuchni. Myjąc ręce pod kranem, rzekł spokojnie, bez wstępu.

— Niestety, spóźnił się pan. Doktor Sadowska przed godziną umarła. Niech pan siądzie — wycierał flegmatycznie ręce w czysty ręcznik.

— Miałem wszystko do dyspozycji, nawet krew do transfuzji, ale przypadek okazał się zbyt ciężki. Życie nie do uratowania. Dwie kule poszarpały wątrobę. Żyła po operacji jeszcze kilka godzin. Przyniesiono ją do mnie o drugiej w nocy. Była przytomna i prosiła żeby do pana zadzwonić, ale wcześniej wieczorem pocisk rozwalił nam na ulicy rozdzielczą skrzynkę telefoniczną.

Doktor Kaczorowski usiadł naprzeciw Rudnickiego. Nalał z termosu czarnej kawy do stojących na stole kubków, a do dwóch setkowych stopek rozlał z butelki wódkę.

— Co pan woli? — wskazał naczynia — Bo ja po każdej operacji muszę się napić. — Wolno wychylił swój kieliszek, postawił i dodał:

— Po zabiegu zdążyła jeszcze, przed utratą przytomności, podać informacje, z których nasza sanitariuszka zdołała odszukać

pana adres. Rano mieliśmy gorące chwile. Nie było kogo do pana posłać. Niech pan wypije... – wskazał ręką kieliszek. Sam zaczął popijać kawę.

Rudnicki jednym haustem opróżnił kieliszek i wyjął papiery. Dopiero teraz odezwał się po raz pierwszy.

– Skąd ona się tu znalazła? Przecież do ostatka była w szpitalu na Nowogrodzkiej?

– Nie znam szczegółów ani zmarłej. Jak wróci z patrolu pielęgniarka, która ju tu przyniosła, dowie się pan czegoś bliższego. Chce pan zobaczyć zmarłą?

– Jeśli można...

– Niedaleko, Chodźmy...

Otworzył drzwi na wprost do pokoju. Okna bez szyb, stół odsunięty pod ścianę. Rozgrzebane łóżko. Po przeciwnej stronie otomana, na niej zwłoki przykryte prześcieradłem.

– To moja prywatna kwatery, ale udostępniłem ją koleżance po fachu. – Uchylił zasłonę. Na twarzy zmarłej, zdawało mu się, pozbawionej jeszcze stygmanu śmierci, błąkał się uśmiech, jakby go w minucie konania dla niego przechowała. Położył dłoń na czole. Zachowało się jeszcze ostatnie ciepło wygasłego życia. Poczul łzy pod powiekami i skurcz gardła. Ujął jej dłoń, już chłodną, nachylił się i pocałował.

Chirurg nasunął prześcieradło na twarz i zagarnął Rudnickiego ręką do kuchni.

– No cóż poruczniku! Proszę się rozgościć, o ile pan chce poczekać na sanitariuszkę. Na mnie czeka robota. I proszę pić, jeśli panu to ulży. Wódki mamy więcej, niż lekarstw i amunicji. Gdyby pan sam chciał się zająć zwłokami, proszę bardzo, gdyż szpital wieczorami grzebie zmarłych na sąsiedniej posesji. Nie lubię sypiać w kostnicy.

– Jeśli pan doktor pozwoli, poczekam na sanitariuszkę.

– Dobrze, po kilku operacjach zajrzę do pana.

W czasie tej lapidarnej rozmowy w zachodniej dzielnicy toczył się zażarty bój. Rudnicki zostawszy sam, korzystając z zap-

roszenia, nalewał wódkę i pił. Papierosy przypalał jeden od drugiego. Czasem przymykał oczy, dziwiąc się doskonałemu w sobie poczuciu obojętności na dalsze losy toczących się zmagają. Jeszcze raz wszedł do pokoju, usiadł na brzeżku otomany i odkrył twarz. Szukał zaginionego już teraz uśmiechu. Małgorzata była idealną dla niego kochanką, na tyle subtelna, że nigdy nie usiłowała zająć przy nim miejsca utraconej w 39 roku jego żony, Wandy, o której słuch zaginął i nie wiedział, czy żyje, czy zmarła gdzieś na bezdrożach szlaków klęski wrześniowej. Wiedział, że Małgorzata była w nim zakochana, ale szanując pamięć o niewiadomym losie jego żony, niczego poza zrozumiałym u młodych ludzi seksem, od niego nie wymagała. Nie widział się z nią od początku powstania, jako lekarz pracowała w szpitalu na Nowogrodzkiej. Telefonicznie umówili się na spotkanie na Brackiej.

Rudnicki zakrył twarz i wrócił do kuchni. W stanie zupełnego odrętwienia znalazła go sanitariuszka. Młoda, dobrze mu znana ze szpitala pielęgniarka, wielce z Małgorzatą zaprzyjaźniona. Zobaczywszy go nad szklanką wódki, zakryła twarz dłońmi i poczęła płakać. Sama dopiero przed chwilą dowiedziała się o śmierci doktor Sadowskiej.

— Jak to się stało, żeście się tutaj znalazły? — pozwolił jej ochłonać z wrażenia, nim opowiedziała przebieg wypadków.

— Napór Ukraińców od placu Starynkiewicza i Lindleja w każdej chwili groził zajęciem Oczki i szpitala. Z Ochoty dochodziły nas wieści, że wszystkich mordują. Rada lekarska doszła do wniosku, że część lekarzy i pielęgniarek powinna się przebić do Śródmieścia, przede wszystkim młodzi. Jedyna droga była ostrzeliwana, ale wielu lekarzy postanowiło ryzykować. W nocy, gdy Gosia dowiedziała się, że pan jest w domu na Brackiej, namówiła kilka osób na pierwszy wypad. No ... i pobiegliśmy. Upadła przy mnie, ale udało mi się dociągnąć ją do narożnego domu. Było nas siedem osób. Co resztą... nie wiem. Po operacji dałam jej swoją krew. Czuła się względnie dobrze. Prosiła, żeby pana zawiadomić, podała mi numer, ale telefon już nie działał.

Nad ranem, przed utratą świadomości, zdążyła jeszcze podać pana adres... Chciałam pobiec sama, lecz tu, u nas, był sądny dzień — zaczęła ponownie płakać — Powinnam sama iść do pana — dodała z mocą.

— Niech pani nie będzie dzieckiem. Przecież i tak bym jej nie uratował.

— Koniecznie chciała pana widzieć, jakby miała panu coś ważnego zakomunikować.

— Co takiego? Nie mówiła?

— Nie wiem, bo pułkownik Kaczorowski kazał mi iść z patrolem sanitarnym, mówiąc, że nie znam drogi i wyśle do pana specjalną łączniczkę... Widocznie za późno to zrobił...

— O której godzinie straciła przytomność?

— Tuż przed piątą rano, przed moim odejściem — odparła nie mogąc opanować płaczu.

— Nawet gdyby pani poszła do mnie i tak bym jej nie zastał przytomnej — uspakajanie zaprzyjaźnionej ze zmarłą pielęgniarki pozwalało mu się samemu opanować.

Późnym wieczorem pomógł jej zawiązać zwłoki w prześcieradła i wsunąć w papierową trumnę. Na posesji od strony Hożej, na skwerze podwórza pochowano właśnie sześć ciał. Kilku powstańców nad grobem swych kolegów chciało oddać salwę honorową.

— Nie! — powstrzymał ich dowódca — Zrobicie to rano w kierunku wroga! — Krótkie requiem kapelana, proste krzyże z nazwiskiem i chwila zadumy tych, którzy jutro mogli zająć miejsca obok, jakie im zapewniła Matka—Ojczyzna.

Na kwaterze zastał doktora Kaczorowskiego; siedział nad szklanką wódki i zdawał się drzemać. Obok wisiała sanitarna sakwa z czerwonym krzyżem.

— To spadek po zmarłej. Proszę opróżnić, a torbę zostawić. Będzie potrzebna. Niech pan siada i pije. Trzeba pić, kolego! To jedyne w tych warunkach lekarstwo na pobudzenie fantazji... A dużo jeszcze będzie nam jej potrzeba.

Stanisław opróżniał przestrzeloną torbę. Kilkanaście rozsypanych pociskiem kostek kawy, dwa pudełka ampułek z kofeiną, kilkanaście sterylnych opatrunków. W bocznej przegródce osobiste drobiazgi i dokumenty, a w nich mocno podniszczona fotografia przedstawiająca Małgorzatę w towarzystwie starszego mężczyzny. Podobieństwo tych obojga nie pozwoliło wątpić, że to jej ojciec. Fotografię wraz z jej przedwojenną studencką legitymacją schował, resztę podarł i wrzucił pod kuchenną blachę.

— No... to teraz niech pan pije, bo po nas nawet tyle, co pan schował, może nie zastać.

Rudnicki nie mógł się powstrzymać od zadania doktorowi pytania:

— Czy gdyby mi pan wcześniej przysłał tę kartkę byłaby szansa rozmawiania z ranną?

— Niel — odparł stanowczo doktor — Traciła już przytomność zaraz po ustaniu narkozy. Urazy wątroby nie dawały żadnych szans zachowania życia. Gdyby nie pewien fakt... w ogóle bym pana nie powiadamiał... — po krótkim wahaniu, bacznie spod krzaczastych brwi obserwując Rudnickiego, powoli dodał:

— Kim była dla pana doktor Sadowska? Jeśli to oczywiście nie tajemnica.

— Nikim, — odparł lakonicznie, a gdy doktor milczał nadal w niego wpatrzony, dodał:

— Wojenna przyjaźń... Spotkaliśmy się wracając z rajzy w 39 roku. Jako lekarz opatrywała mi ranną nogę. Dzięki niej mam jeszcze obie...

— No widzi pan! Życzę panu, żeby pan sobie długo na nich chodził. To cenniejsza po niej pamiątka niż fotografie.

— Dlaczego pan doktor o nią pytał?

— Niech się pan nie zdziwi, że zapytam o więcej: współżyliście ze sobą fizycznie? Szczerze — dorzucił po chwili zdziwionego milczenia Rudnickiego. — To nie wstyd, jeśli Bóg nie wstydzi się kazać się rodić i tak plugawo umierać.

— Tak... oczywiście... Żona mi zaginęła w 39 roku.

Doktor ociężale podniósł się i dopiwszy resztę ze szklanki stanął twarzą do okna, przez które wdzierały się odblaski reflektorów na niebie. Po chwili nie odwracając się zaczął mówić.

— Nie bardzo miałem czas rozpoznać... ale pochował pan również syna albo córkę... Sądzę teraz, że własną...

Rudnicki sięgnął po butelkę, nalał pełną szklanekę i pił do dna. Doktor Kaczorowski sięgnął z szafki pod oknem następną, postawił na stole i rzekł:

— Trzymaj się chłopie! Cały dzień trawiłem w sobie, czy zachować dla siebie to odkrycie, ale twój spokój upoważnił mnie, by ci o tym powiedzieć. Do widzenia — wyciągnął rękę na pożegnanie — Muszę już iść, żeby mi koziki nie pordzewiały. Okazuje się, że i chirurg może znaleźć w człowieku kawał historii ludzkiego życia.

W czasie gdy Rudnicki półświadomie omijał piwnice w drodze do domu, na niebie trwała zażarta walka o spędzenie z nad Warszawy alianckiego desantu broni dla powstańców. Obrona działała na czas i skutecznie. Maszyny zrzucające zasobniki, chcąc uniknąć zenitówek, leciały tuż nad dachami, ostrzeliwane przez nocne myśliwce. Na Kruczej Rudnicki usiadł pod murem na stercie płyt. Obojętny jak drewno na niebezpieczeństwo, zadarł głowę do góry i śledził sznury ognistych paciorków goniące upartych odwagą polskich lotników.

— A szkoda — pomyślał — Gdybym się pod Włodawą posłuchał Klimka, może by teraz i za mną gonili.

Dobrze po północy zastał w swym mieszkaniu mocno obsadzony szaniec obronny. W oknach tkwiły worki z piaskiem. Część ludzi stała przy nich na stanowiskach, reszta pokodem spała. Dowódcę zastał w swoim pokoju. Wywołał go do piwnicy. Wypiwszy na pożegnanie z chirurgiem jeszcze pół szklanki wódki, szedł teraz na chwiejnych nogach, klasycznie obojętny na wszystko co go jeszcze może spotkać. Gdy znaleźli się w piwnicy zapalił świecę.

– Macie tu, mili wojacy, zapas paliwa, dla kurażu – wskazał składał? Dla sojużów ze wschodu... Ale oni nie przyjdą teraz. Wypijcie za ich zdrowie.

– Na pohybel chciał pan powiedzieć! Pan jest pijany! – oburzył się porucznik. Rudnicki oparł nogę na bańce – patrzył na płomień świecy.

– Myli się pan. Nigdy nie myślałem trzeźwiej, jak w tej chwili. Chciałbym, abyśmy obaj przeżyli i mogli kiedyś razem wypić na pohybel ludzkiej głupocie. Chodźmy, nic tu po nas – zamkną piwnicę i wyszli do bramy.

– A jak wesłicie do mieszkania kiedy ja mam klucze?

– Czekaliśmy na pana, w końcu wyważyliśmy drzwi.

– Prawdłowo – zachwiał się lekko – Mnie mieszkanie już nie potrzebne, ale polecam łaskawej opiece, bo jak po wojnie wróci moja teściowa, to się go nie dosprząta i może się na was pogniewać! – roześmiał się.

– Panie, nosi pan opaskę AK, a co pan właściwie robi? – zainteresował się porucznik wyraźnie poirytowany.

– Zbieram mannę, którą nam sojużnicy z nieba zrzucają. Cześć! Do zobaczenia w lepszych czasach! – zarzucił torbę i począł się oddalać.

– Gdzie pan idzie do cholery? Może pan spać w swoim mieszkaniu!

– Moje mieszkanie spaliło się w 39 roku. Cześć!

Gdy zagłębił się do piwnicy, zaduch przyprawił go o mdłości. Nogi ujęły mu się w kolanach, osunął się pod murem.

– Świnia jestem. Powinien mnie aresztować... Ale temu chirurgowi też się musiało dwoić w oczach...

(Fragment z powieści p.t.: "Zagubiony ślad")